Nr. 57. Lwów — 1889 r. Rok XII.

Numer pojedyńczy 15 ct.

ISKRA

Numer pojedyńczy 15 ct.

Czasopismo dla wszystkich illustrowane.

„Goniec“ i **„Iskra“** wychodzą każde po dwa razy na miesiąc w czwartki — razem cztery razy. Prenumerata *na obydwa pisma* wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych. **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi drobną kwotę co miesiąc.

*Właściciel i naczelny redaktor: **M. D Chamski***

U wód.



— I pan powiadasz, żeś pan zadowolony z tegorocznego sezonu..

— Bardzo.

— Czuje się pan zdrowszy?

— Chory nie byłem wcale — ale wykochałem się na cały rok!... A pani?...

— Cóż pan chcesz od mężatki, która jest tak nieszczęśliwa, że mąż włóczy się z nią nawet do wód...

Niestosowne mieszkanie.



— Panie! nie obrażaj pan mojej godności, bo ona się potrafi obronić!...

— Ja tę godność wyprowadzę z pana, bo to nie dla niej mieszkanie...

Z moskiewskich stosunków cenzuralnych.



— Panie drogi, ja nie mogę puścić tego artykułu, bo jest zła tendencja.

— No to wykreśl pan tendencję, a artykuł niech zostanie — i rzecz skończona...

Od Administracji.

Szanownych pp. abonentów zalegających w prenumeracie, prosimy usilnie o odnowienie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zaległości takie są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe i po prostu krzywdę jego interesom wyrządzają. Zwracamy też bliższą uwagę pp prenumeratorów w Ameryce zamieszkałych i prosimy ich o odsełanie zaległej prenumeraty, bo osobna z nimi korespondencja jest kosztowna.

Wszelkie pieniężne należytości prz selać należy w liście rekomendowanym, lub przekazem pocztowym **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie ul. Kraszewskiego liczba 23.**

Zjazd delegatów Kółek rolniczych
we Lwowie.

Przypatrując się rezultatom działalności Towarzystwa Kółek rolniczych w Galicji, bez żadnej przesady można powiedzieć, że Towarzystwo to, nietylko się rozwija, ale przynosi istotną korzyść społeczeństwu polskiemu. Z różnych sprawozdań, które słyszeliśmy na zjeździe, można było przekonać się, że pod względem materjalnego dobrobytu, zarząd towarzystwa przez zakupywanie nasion, narzędzi rolniczych i lustracje gospodarstw włościańskich przez wędrownych nauczycieli, o ile to było tylko w jego siłach, bardzo wiele uczynił — pod względem zaś duchowego pożytku, rozwijania poczucia solidarności, ożywiania uczuć narodowych, wpajania idei łączności i braterstwa, przeszedł oczekiwania najczarniejszychpesymistów. Praca Towarzystwa Kółek rolniczych, jest dowodem, że u nas na tem polu jest wprawdzie bardzo wiele do zrobienia, ale przy dobrych chęciach i rzetelnem poczuciu obywatelskich obowiązków w krótkim przeciągu czasu, można także bardzo wiele zrobić...

Nie naszą rzeczą jest pisać szczegółowe sprawozdanie z tego, co delegaci Kółek rolniczych na zebraniach zjazdu mówili, to należy do pism codziennych — my zapatrywać się musimy na ten cały ruch, w rzetelnie dodatnim kierunku społecznem z ogólnego stanowiska i z głębokiem przekonaniem wyznajemy, że obywatelską pracę Towarzystwa Kółek rolniczych w Galicji, cały naród polski błogosławi.

Oprócz wspólnego objadu i wieczorów, na których uczestnicy zjazdu w swobodnej pogawędce mogli się bliżej poznać, porozumieć, a nie rzadko osobiście pokochać, a na których to zebraniach znajdowało się wielu włościan z pod Krakowa. Tarnowa, Rzeszowa i rusinów, d. 10. października dano w teatrze skarbkowskim Anczyca: *Kościuszko pod Racławicami*, na którem to przedstawienin, niemal cały teatr zapełniony był uczestnikami zjazdu, a wśród nich wielu włościan.

Takiego przedstawienia jeszcze we Lwowie nie było... I takiego wrażenia, jakie *Kościuszko pod Racławicami* niemal każdą sceną wywoływał, także lwowski teatr nie widział... Gorące łzy ściekając po policzkach, splatały się z homerycznym śmiechem i radosnymi wykrzyknikami, i składało się to na jakąś dziwnie inną, głęboko charakterystyczną, imponującą fizjognomję publiczności, którą się nieczęsto po teatrach widzi... Ten *Kościuszko pod Racławicami*, do twardej piersi chłopa skuteczniej z pewnością przemówi i rzuci do nich więcej zdrowego ziarna, aniżeli setki różnych ludowych bazgranin, które prostego i nieprostego człowieka nudzą, bo są pisane bez talentu.

Ze zjazdem połączona była wystawa, o której, wprawdzie, pomyślano na prędce, ale jednak, jak na skromne ramy, w których zamknąć się musiała, przedstawiała się bardzo sympatycznie, chociaż, właściwie powiedziawszy, nie była to wystawa Kółek rolniczych, lecz po prostu urządzony rynek, na którym kupcy, fabrykanci i przedsiębiorcy, powystawiali swoje wyroby. Wystawa ta urządzoną została pod względem dekoracyjnym bardzo starannie i ładnie, w ogrodzie na tutejszej Strzelnicy.

Najbardziej, bezwątpienia, pożytecznymi okazami na tej wystawie były wyroby dwóch naszych inżynierów: p Uderskiego i p. Szeligi-Łyszkiewicza. P. Uderski przedstawił dach słomiany, ogniotrwały. Dach taki zrobiony jest z prostej słomy, lecz zszyty tak silnie drutem, że powietrze nie ma przystępu pomiędzy słomę, a wskutek tego, słoma zapalić się nie może. Probowano na wszystkie strony, z pewną nawet zaciętą cierpliwością, podpalać taki dach, ale wszystko na nic się nie zdało, bo dach się nie zapalił. Pomysł p. Uderskiego jest ogromnie praktyczny tembardziej, że każdy chłop taki dach zrobić sobie może. P. Uderskiemu szczerze winszowano tego pomysłu, z którego, zresztą, wynalazca nie robi żadnej tajemnicy i w poczuciu obywatelskich obowiązków, oddaje go na użytek publiczny.

P. inżynier Szeliga-Łyszkiewicz wystąpił z dachową papą ogniotrwałą, która również poddana surowym próbom nie zapaliła się. Papa dachowa wynalazku p Łyszkiewicza, ma zresztą, już ustaloną reputację pod wględem ogniotrwałości, gdyż nieraz w wypadkach pożarnych dała tego dowody, a między innemi, nie dawno, gdy się paliły magazyny wojskowe na Janowskiem, dachy pokryte papą wynalazku p. Łyszkiewicza, nie zapaliły się wcale.

Obydwa wynalazki polskich inżynierów, przynoszą im zaszczyt nie mały. Wynalazek p. Uderskiego, jest wybornym, a praktycznym dla włościan, wynalazek p. Szeligi-Łyszkiewicza dla większych właścicieli i przedsiębiorstw fabryk.

Na wystawie tej robiono też próby z sikawkami z fabryki pana Petersheima z Krakowa, które dowiodły, że sikawki te są bardzo praktyczne, skuteczne i tanie.

Z kwiatka na kwiatek.

= Kasyno damskie.

Założono w Berlinie kawiarnio-kasyno niewieście, do którego okazy płci brzydkiej miały sobie wstęp absolutnie zakazany. Wkrótce, atoli, pokazało się, że członkinie kasyna, jako, bądź, co bądź, nowicjuszki na niejednem polu działalności społecznej, potrzebowały zasięgnąć pewnych informacyj od plemienia brzydkiego; wyznaczono tedy jeden pokój, do którego wolno było przychodzić indywiduom męzkim, przez komitet kasyna wyznaczonym i do tego upoważnionym. I cóż się stało?... Oto stało się, iż niebawem oprócz tego uprzywilejowanego pokoju, reszta lokaln kasynowego okazała się niepotrzebna; wszystkie bowiem, członkinie, tylu potrzebowały informacyj, że nie wychodziły prawie z tego przybytku informatorów. Można sobie wyobrazić, jakie były dalsze losy tego stowarzyszenia kasynowego...

= Wydawnictwo umarłych.

Nie wiemy, czy żywi, w rezultacie, będą zadowoleni, ale faktem jest, że powstał projekt wydania dzieła obejmującego monograficzne opracowanie cmentarzy lwowskich. Właśnie wydawnictwa tego mamy prospekt przed sobą. Tytuł: *Pomnikowe rysy cmentarzy lwowskich*, co prawda dosyć niewyraźny, może bezpretensjonalny, ale też nie streszczający w sobie tego, czem podobnego rodzaju wydawnictwo być powinno. Główne współpracownictwo tego dzieła objął p. Wł. Z. Ciesielski, autor kilku monograficznych prac tego rodzaju. Literatura nasza posiada pomnikowe dzieło podobnego zakresu, a jest niem *Cmentarz powązkowski w Warszawie*, opracowany z wielką starannością i wyczerpująco przez znanego, a już zmarłego autora *Historji literatury polskiej* Kazimierza Władysława Wojcickiego. Czy lwowskie *Pomnikowe rysy* staną obok warszawskich *Powązek* — tego nie wiemy, ale, że powinny je sobie brać za wzór, to nie ulega wątpliwości. Nic też z projektu nie wiemy, czy *Pomnikowo rysy* będą illustrowane, czy nie — jeżeli nie to zdaniem naszem, całe wydawnictwo straci na swojej doniosłości. Prospekt powiada: „cenę na to dzieło oznacza się 50 ct.". Co to jest? Za 50 ct. można wydać jakąś broszurkę, a nie dzieło i to jeszcze tego rodzaju. Chyba zeszyt będzie tyle kosztował, ale ile ma być zeszytów, jak będą wychodzić, kiedy to wydawnictwo ukończone będzie — tego wszystkiego w prospekcie nie ma. Prospekt tych *Pomnikowych rysów* robi wrażenie jakiegoś dorywczego przedsiębiorstwa. W interesie samych wydawców leży, aby wyraźniej do publiczności przemówili, która przecież nie może kota w worku kupować...

= Monaco i panny Heine.

Młody książę Monaco podobno naprawdę myśli zamknąć jaskinię w Monte Carlo. Książę żeni się z grubymi pieniędzmi, gdyż za swoją przyszłą: księżną Richelieu z domu Heine, bierze 50 milionów franków. Bądź, co bądź, te Heinówny, nieźle się pokierowały: jedna poszła za księcia Talleyrand Perigord, druga, pogrzebawszy Richelieugo, idzie za panującego księcia. Trzecia jest jeszcze panną, ale i ta już zamyśla wydać się za mąż.

W każdym razie, jeżeli książę, ożeniwszy się zamknie swoją szulerską budę w Monaco, małżeństwo to przyniesie korzyść ludziom...

Tylko, podobno, nasza złota i pozłacana młodzież dowiedziawszy się o tem, postanowiła podać adres do księcia Monaco i prosić go, aby zachował ten przybytek, w którym można zbogacić się, albo... w łeb sobie strzelić...

Tak, jak między ludźmi...
Humoreska.

Nieraz się słyszy, jak ludzie narzekają na „psie życie", „na psie powietrze", słyszy się czasem, jak ktoś w złości biednych psów wspomina, czy to mówiąc o nich samych, czy też o ich kościach, albo krwi.

Nazwać kogo psem, jest to obrazić go śmiertelnie, ale czy słusznie, to znów inna rzecz.

Bo proszę państwa, przecież ten wzgardzony pies, jest najszlachetniejszem zwierzęciem.

Pies jest szczerym przyjacielem człowieka, cały swój żywot oddaje na jego usługi. Ponieważ nie mam zamiaru kreślić obrazku z dziedziny historji naturalnej, lecz tylko humoreskę, na tle mało dotychczas znanych psich stosunków, zwyczajów i obyczajów, więc przyjmuję à priori, jako pewnik, że każdy z szan. czytelników poznał w życiu choć jednego psa ze strony dodatniej i nauczył się cenić tego przyjaciela rodu ludzkiego.

Teraz do rzeczy.

— Na urwistej skale, w pobliżu szumiącego i swe wody toczącego Czeremoszu,

leżała willa, pałacyk, czy dworek, sam nie wiem, jak to nazwać, słowem dom mieszkalny z gospodarskiem obejściem hrabiny Agaty, Hiacynty, Flory, trojga imion z hr. Guziczkowskich, primo voto Perełkowskiej, secundo: Kling-Klang Paciorkowskiej. Jej drugi małżonek, nieboszczyk pan hrabia Kling-Klang Paciorkowski, zawdzięczał tę początkową ozdobę swego imienia swemu dziadkowi, który posługując do Państwa Niebieskiego, miał to szczęście przegrać połowę swej fortuny do możnego pewnego mandaryna nazwiskiem Kling-Klang. Ten odwdzięczając się za błyszczące półimperjały, czy też floreny, będąc hrabią chińskim przelał swe prawa t. j. nie pieniądze, ale nazwę, jako ostatni z rodu, na naszego hr. Paciorkowskiego, co ten, naturalnie, nie omieszkał ocenić i z wdzięcznością przyjąć.

Krótko, a węzłowato, hrabina wdowa, panowała wszechwładnie na swem wdowieńskiem dziedzictwie.

Mieszkańcami pałacu (własne wyrażenie hrabiny), byli, oprócz niej samej, stary sługus i totumfacki Bartłomiej, zwany przez jasną panią pieszczotliwie Barteczkiem, dalej bryś łańcuchowy zwany Brychem, wreszcie, milutka suczka rasy kurlandzkiej, faworytka jasnej pani, wabiąca się pieszczotliwie Pampinelcią „Risum teneatis amici". Bohaterowie humoreski, występują na widownię, należy im się krótki opis.

On t. j. Brycho, był to pies czarny, kudłaty z kitą zamaszystą, z kłapami potężnymi, dającymi złe świadectwo o jego inteligencji i wychowaniu.

Pampinella, to już całkiem, co innego, to suczka „comme il faut", prawdziwy francuski piesek, choć kurlandzkiej rasy. Śliczną bo psiną była Pampinelcia, włos bialutki, jedwabisty o zalotnych kędziorkach, pyszczek miły, delikatny o szlachetnym profilu, w kształtnej główce połyskiwała para lśniących, figlarnych, czarnych, jak tareczki ocząt. Nosek grecki, buzia nie powiem koralowa, ale zawsze śliczna, ozdobiona dwoma sznurkami, śnieżnej białości perełek. Łapki, jak u sarneczki, ogonek filuterny i puszysty, jak wachlarz ze strusich piór.

Brycho był to prosty hucuł, bez najmniejszej ogłady towarzyskiej, bez znalezienia, żarłok, że aż fe! konia z kopytami by zeżarł, jak Barteczek powiadał. Narowów miał miljon, zalety żadnej, bo nawet stróżem był nie tęgim, szczekał w dzień z nudów, w nocy przeciwnie chrapał w najlepsze i złodzieje mogliby go z budą wynieść, gdyby tylko było co wynosić. Taka obojętność i, że tak powiem, czarna niewdzięczność za wikt i stancję, u psa takiego, jak Brycho, może się wydawać bajką z tysiąca nocy i jednej, ale „si non e vero e ben trovato" nie ma się czego dziwić, ot sobie psi chłop prosty...

Miły Boże! jakżesz się od tego prostackiego Brycha różniła Pampinelcia, ta delikatna o wykwintnych manierach psina. Wprawdzie, edukacji swej nie zawdzięczała, ani metrom zagranicznym, ani bonom francuskim, ale wykarmiona własną ręką jasnej pani z flaszeczki, najlepszą śmietanką, wypieszczona, rosła zdrowo i robiła się coraz śliczniejszą.

W wiośnie swego życia, szczekała milutka psina swym delikatnym pełnym dźwięku głosikiem, napełniając radością serce swej pani.

Dobrze było Pampinelci u swej pani, tak, że chyba ptasiego mleka jej brakło. Rano, zbudziwszy się i wyciągnąwszy swe delikatne łapki, wstawała z mięciutkiego łóżeczka i szła powiedzieć pani „dzień dobry", rozumie się po swojemu tj. piszcząc. Pani witała swą pieszczotkę serdecznie, pytając: „Jak się Pampinelci spało? co się Pampinelci śniło? pchełka może biedaczkę ugryzła?" i t. d.

Pampinelcia odpowiadała, jak mogła łasząc się i kręcąc ogonkiem. Codziennie przy śniadaniu powtarzała się jedna i ta sama scena. Pani piła spokojnie ranną kawę, zapominając umyślnie, że nie ona sama tylko na czczo Obowiązkiem Pampinelci było stanąć na dwóch łapkach i grzecznie prosić o śniadanko. Pampinelcia, ta mądra psina, wiedziała o tem zbyt dobrze, nieraz jednak, gdy pani nie zwróciła od razu uwagi na jej zgrabne piruety i warczącym głosem wypowiadane objawy niecierpliwości, wskakiwała Pampinelcia na kolana pani i lizała ją po twarzy. Na takie karesy pani obojętną być nie mogła, więc karmiła swą faworytkę cukrem, korzuszkiem i sucharkiem maczanym w wonnej kawusi. Mniej więcej w ten sam sposób obiadowała i wieczerzała hereoina naszej niekoniecznie humorystycznej humoreski. Chodziła Pampinelcia z panią na spacer, wystrojona w piękną kolorową przykrywkę, patrzyła tak samo z góry na inne psy, jak jej pani na innych ludzi, a hołdy oddawane jej przez kundysów wiejskich przyjmowała, jako należne jej wdziękom i pozycji w świecie.

Żaden wiejski burmyło, czy to Śpiwak, czy Bosy, czy Cygan, żaden, powiadam, wiejski psi dandy, nie miał śmiałości podnieść na nią oczów, oho! nie dla psa kiełbasa, nie dla chamów Pampinelcia Czas wrócić do pana Brycha. Wprawdzie, to kundys, ale, że należący do dworu, więc zawsze w stosunku do wyż wspomnianych wiejskich burmyłów, należy mu się tytuł pana. Otóż, p. Brycho miał między innymi tę szpetną wadę, że spuszczony z łańcucha, lub, gdy się sam urwał, czmychał z domu i nie wracał, aż dopiero, jak mu gdzieś dobrze skórę wygarbowano. Często gęsto trafiało się, że czmychnąwszy na czterech, wracał nocą na trzech łapach, kulejąc i skomląc. Nazajutrz znachodził go Barteczek w budzie i dopiero zaczynała się inkwizycja. „A ty złodiu oden" mówił rozsrożony Barteczek „a ty psi synu", „a ty łajdaku oden", abyś ty daj Boże zdochł, jak pes pid płotom, a deż to ty sia zajwołoko oden lumpował, piczkajno nebore, piczkaj, deś ty każe ne wesile chodyw, a bodajś ty zdoch, jak pes, a bodajś sia skazyw, huncwoty oden".

I tak dalej i dalej wymyślał gromowładny Barteczek, aż biedne psisko wylazło z budy na trzech łapach i z miną desperacką, z ogonem pod brzuch wciągniętym, poczęło lizać chłopskie buty Barteczka, grubo dziegciem wysmarowane.

Na widok takiej mizerji i pokory swego pupila, rozczulał się zwykle Barteczek, a kopnąwszy go tylko ot tak na wiatr, wynosił mu miskę pełną różnych ochłapów.

Są rzeczy w świecie, o których się i filozofom nie śniło. Jestto pewnik tak stary, jak świat i filozofowie.

Któżby mógł przypuścić, że Pampinelcia pierwsza dozna zgubnych strzał Kupidyna. Tak, jednak, było w istocie, a jak było, opowiem. Psy prędzej dojrzewają, niż ludzie, rzecz naturalna, bo znacznie króciej żyją. Kiedy już Pampinelcia liczyła piąty miesiąc, pozwoliła jej pani, gdy słonko ładnie świeciło, pójść na podwórze pobawić się z Brychem. Nie przeczuwała dobroduszna pani, że niebezpiecznie igrać z ogniem, nie wiedziała snać biedaczka, że Brycho będąc psem nic potem, mógł się stać niebezpiecznym, jako amant dla jej faworytki. Takiego mezaljansu nawet przypuszczać nie mogła dumna pani. — Ale cóż niemożebnego pod słońcem. Niedoświadczona w praktykach sercowych Pampinelcia, zasmakowała w towarzystwie prostackiego, zawsze, jednak, dość przystojnego i rycerskiego Brycha. Rycerskim był bardzo, widziała przecież nieraz na własne oczy, jak w obronie towarzyszki swych zabaw, urywał się z łańcucha, aby jakiemuś dandysowi wiejskiemu zostawić na grzbiecie namacalne „pro memoria".

Gdybym posiadał cytrę lub lirę Ariona, tobym w kunsztownych dytyrambach, opiewał tę skłonność młodziutkiej Pampinelci do Brycha, tego Parysa psiego rodu.

Co tu dużo gadać, ona zakochała się w nim po koniuszki swych szpiczastych uszek, on odwzajemniał się jej na śmierć, i życie...

Biedny Brychu! nie ciesz się daremnie! bo radość twoja za wczesną! Nie wiesz biedaku zaślepiony szczęściem, że nad twą głową zawisł miecz Damoklesa... Pani widząc, że znajomość z Brychem zadaleko zaszła, postanowiła położyć tamę zgorszeniu i dla faworytki wymyśliła prezent jedyny w swym rodzaju. Oto: sprowadziła ze Lwowa młodego, bo dwuletniego pieska, z rasy jedwabistych bonończyków, imieniem Szpic — jednem słowem, dała Pampinelci narzeczonego. Szpic, byłto pies wysokiego rodu, najczystszej rasy pincz, nieco od Pampinelci słuszniejszy i mocniej zbudowany, zwykle, jak mężczyzna. I jak sądzicie piękne czytelniczki, jakiż będzie epilog tego romansu? Nie zgadujecie, nie ma nad czem głowy łamać, toć to jasne, jak bursztyn — dzisiaj już i u psów to samo, co u ludzi: „Głupi kto się kocha, głupszy, kto wierzy w miłość!"... Pampinelcia nie byłaby chyba córką swojej płci, gdyby się choć chwilę namyślała nad wyborem między kudłatym prostakiem, któregc, zresztą, tak kochała, a eleganckim paniczem wielkomiastowym, skoligaconym z pierwszymi domami psiego świata. Przecież dla kudłacza, nie odrzuci takiej partji jak Szpic. Zaskomli trochę z żalu i... odda łapkę Szpicowi.

Więc Pampinelcia została panią Szpicową, a Brycho? E! co tam Brycho, wściekła się bestja z żalu i pokąsał sam siebie tak strasznie, że aż zdechł.

Tadeusz Granicki.

Kronika z tamtego świata.

II.

Czem chciałbym być, gdyby... Chłopi i dziennikarze. Jubileusze. Jubileusz p. Niemczynowskiego. Bajka teatralna. Zakończenie.

Gdyby mi wolno było po raz drugi żyć na świecie, to przedewszystkiem, nie chciałbym żyć — ale gdybym musiał, to chciałbym być chłopem... „Błogosławieni maluczcy, albowiem ich jest królestwo niebieskie", powiedziano jest w Piśmie Świętem — co przetłómaczone na

Dobrze zrozumiała.



— A wyście co zrobili mężowi?...

— A no doktor, kazał mu okładać twarz materacykiem — małego nie było, więc mu łeb zawinęłam w duży, to jeszcze lepiej przecie, bo więcej będzie c i e p ł o ś c i...

Do gotowego.



— I panna Dosia znowu jest mamką?...

— A znowu...

— Taka ładna panna — nie lepiej to zostać żoną...

— Juści, że lepiej...

— Bo to, proszę panny Dosi, z mamki ma się żonę i zaraz, jak znalazł, gotową matkę...

ludzkie stosunki znaczy, że koło chłopa naszego wszyscy dziś tańczą i wszyscy się do niego umizgają, chociaż nim niedawno jeszcze poniewierali. Karmią go, uczą, myją, głaszczą, łechcą pędzelkiem pod nosem, a chłop nic, tylko się czasem w głowę podrapie... Długo tam będzie tych obertasów z chłopami — nie wiem, ale, że do dzisiejszego dnia na to wszystko chłop nic więcej nie odpowiada, tylko: „daj, daj i daj" — to nie ulega wątpliwości; nie jest on znowu taki głupi, za jakiego go uważają — przedewszystkiem umie milczeć, jak Ziemiałkowski, a gdy potrzeba wrzeszczy, jak niegdyś Jan z Obełgowa Gembosz. Takie, bo już czasy teraz nastają, że ludzi, niby zaczynają inni szanować, bo się ich drudzy ludzie boją... Charakterystyczną cechą naszych czasów jest stanowisko chłopa i... dziennikarza w społeczeństwie — obydwóch się boją, więc słodkie do nich oczy robią, ale, żeby mogli, z przyjemnością odwróciliby się do nich tyłem. Co prawda, ten stojący dziennikarz koło chłopa, nie jest przypadkiem, który, jak wiadomo, chodzi po ludziach, bo, jeśli chłopa dziś miodem smarują, to pierwszy na to dzwonił i ciągle zawzięcie dzwoni dziennikarz, tylko, że chłopowi polskiemu, co raz wygodniejsze ścielą łoże, a dziennikarz polski tam śpi, gdzie się położy, a najczęściej nie kładzie się wcale i dopiero spocznie na cmentarzu; tam mu włożą pod głowę wiązkę komplementów i frazesów, ten i ów z atramentowych braci cicho zapłacze, a niejeden wychodząc z cmentarza, szepnie do siebie: „dobrze, że go już raz djabli wzięli".. Już tam lwowski dziennikarz, jeśli się doczeka jakiego jubileuszu — to chyba jubileuszu golizny — a jednak, kto dziś nie obchodzi jubileuszów?.. Chyba ten, kto nie chce. Ostatecznie, zawsze się może zebrać gromadka ludzi, którzy powiedzą: „jesteś człowiek zasłużony, więc zjedzmy sobie po małej porcji polędwicy, wypijmy po kilka kieliszków i urządźmy sobie jubileusz z mowami"... K u ż d y, jak powiada pan Niemczynowski, może zrobić coś dobrego, i k u ż d y może zrobić coś złego, a są i t a k i e l n d z i e, jak mówi znany mowiec i rymarz p. Walichiewicz, którzy nic nie zrobią, choć, jak utrzymuje filozoficznie p. Lickendorf fabrykant powozów i innych cnót publicznych, którym się zdaje, że f u r d ciągle robią...

Która z powyższych sentencyj dała powód do 25-letniego jubileuszu pana Niemczynowskiego, mniejsza o to — ale w głowę zachodzę, czy p. Niemczynowski obchodził jubileusz, jako krawiec, czy, jako mąż publiczny, czy też h u r t e m?... Jeżeli, bowiem, w tych 25 latach zamyka się cała działalność obywatelska p. Niemczynowskiego, to za mało jednej porcji polędwicy... Skromność, jest śliczną cnotą, ani słowa, ale, gdy chodzi o prawdziwe zasługi i o ich uczczenie, to już tam polędwicy przecie żałować nie należy...

Dziwnie się plecie na tym bożym świecie, a uczczenie zasług i talentu, chodzi rozmaitemi drogami i czasem są sytuacje, prawdziwie Szekspirowskie... Opowiem państwu taką prawdziwą bajkę teatralną.

Kilka lat temu, przeniósł się pewien aktor do innego miasta i tam mocno zaniemógł, a że był zacny człowiek, poczciwy kolega i artysta niepospolitego talentu — więc koledzy z teatru, na którym pracował poprzednio, posłali mu z kasy wspólnej zapomogę. Dotknięty chorobą, rozczulił się, napisał serdeczny list do kolegów i doniósł, że pieniądze przyjmuje, ale, jak będzie w lepszych stosunkach finansowych, zwróci je, na co przesela weksel bezterminowy. Po pewnym dłuższym czasie, aktor przybywa na gościnne występy na dawną swoją scenę. Gra, zachwyca publiczność, „robi kasę" i jednego pięknego wieczoru, wręcza mu kolega w imieniu kolegów wieniec laurowy na scenie w obec klaskającej publiczności, a w tej samej chwili egzekutor, z mocy sądowego kondyktu, zabiera z kasy teatralnej dochód wieńczonego artysty na rzecz kasy towarzystwa „w z a j e m n e j p o m o c y artystów", na podstawie owego weksłu wywołanego z nieproszonej zapomogi... Trzymał, właśnie, ów aktor wieniec laurowy w jednej ręce, za kulisami, gdy mu wetknięto do drugiej kopję kondyktu sądowego... A publiczność po za kurtyną jeszcze klaskała... Był potem wieczór benefisowy dla innego aktora, który jest chory — uwieńczony artysta kondyktem sądowym, wziął w tem przedstawieniu udział, a potem mruknął: „niech was tu piorun trzaśnie z takiem koleżeństwem" — i odjechał... I gdzie to wszystko było i kto to wszystko zareżyserował?

Albo ja wiem!...

Nieboszczyk Lam.

Złowroga piękność.

Przekład z angielskiego **E. H.**

przez autorkę „Miłość jego życia".

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 46 „Gońca").

Estera Ransome mogła mieć około trzydziestu pięciu, lub sześciu lat; wysokiego wzrostu, nie zbyt szczupła, ani otyła, dobrze zbudowana, piękną była niezaprzeczenie, z pozoru, jednak, sądząc trudno było przypuszczać, aby podobnego rodzaju kobieta mogła wywierać wielki wpływ na płeć męzką. Zdawało się — wnosząc z jej spokojnego i skromnego obejścia — że nie jest z natury namiętną; któż jednak mógł wiedzieć, co się kryje pod tą pozorną łagodnością i spokojem?

Tymczasem dość powiedzieć, że Estera Ransome ubierała się bez zarzutu, jak paryżanka, mówiła po francuzku z bardzo nieznacznym cudzoziemskim akcentem i była niezrównaną gospodynią domu.

W tej chwili leżał przed nią stos złota. Grywała zwykle szczęśliwie, bardzo szczęśliwie.

— Dziwi mnie — rzekła, — że pan St. Marc dotąd nie przybył. Prosił o pozwo-

lenie przedstawienia mi swego przyjaciela, młodego anglika, którego nazwiska nie powiedział. Spodziewałam się ich wcześniej.

— Czy jego przyjaciel grywa? — spytał markiz, do którego zwracały się słowa gospodyni domu.

— Ach, nie wiem doprawdy. Jest szlachetnego rodu i bogaty. Nic o nim więcej nie słyszałam! Otóż powóz jakiś zatrzymał się przed gankiem. Może to kareta pana St. Marca.

Domysł jej wkrótce się sprawdził, drzwi się otwarły szeroko i sługa oznajmił:

— Pan de Saint-Marc i pan Devereux.

Pani Ransome wstała i zbliżyła się na powitanie gości, a każdy z przytomnych zwrócił na przybyłego uwagę.

Był to człowiek młody, wysoki, szczupły, uderzającej piękności, z wijącemi się włosami, które jak złoto błyszczały przy świetle, z dużemi jasnemi oczyma. Nie nosił innego zarostu prócz wąsów, ocieniających usta, tkliwe jak u kobiety, lecz mające wyraz takiej siły woli, jaka się rzadko w mężczyźnie spotyka, i zbyt dumne, jak na młodzieńca. Skoro się skłonił i na powitanie gospodyni odpowiedział kilku uprzejmemi słowy, wszystkich gości uderzył doskonały jego akcent francuzki.

— To być nie może; to nie musi być anglik, — szeptano, a pani Ransome rzekła z uśmiechem do pana St. Marca: — Mówiłeś mi pan, że jego przyjaciel jest anglikiem?

— Rzeczywiście, łaskawa pani. Wyborna francuzczyzna mego przyjaciela wszystkich w błąd wprawia.

— Nic w tem dziwnego, — odpowiedziała. — Chciałabym tak mówić po francuzku jak pan, — zwróciła się do pana Devereux: — musiałeś pan długo bawić we Francji?

Zagadniony odrzekł krótko: — Tak pani; — i gospodyni przedstawiła go innym gościom, a wnet uwaga wszystkich skupiła się na nim. Człowiek tak wytworny w obejściu, wykształcony, szlachetnego rodu i bogaty, a przytem tak pociągającą obdarzony powierzchownością, w żadnem towarzystwie nie mógł przejść niespostrzeżenie.

Devereux grał trochę, następnie przypatrywał się grającym, a w końcu zatrzymał się przy stole, za którym siedziała pani Ransome, z powiększającym się ciągle przed nią stosem złota.

Przyglądał się temu spokojnie, z pewnem obojętnem zajęciem. Nikt — chociażby mu się najuważniej przypatrywał, nie odgadłby nigdy, jak pilnie śledził każdy ruch pani Ransome, a ona z pewnością nie zgarniałaby z takiem zadowoleniem złota, gdyby przeczuwała, jaki złowrogi cel ukrywał się pod spokojną powierzchownością pięknego anglika.

— Pan nie gra? — zrobiła uwagę pani Bernard, dama z wyższego świata, starająca się, co tylko mogła, doprowadzić swego męża do ruiny, swą szaloną namiętnościa do gry w karty.

Devereux się uśmiechnął.

— Wiadomo pani, — odrzekł z lekkim ukłonem, — że patrząc ze strony, lepiej grę zrozumieć można.

Estera Ransome rzuciła na niego nieznacznie badawcze spojrzenie, lecz z twarzy jego nic wyczytać nie było można.

Widocznie pan Devereux nie nadawał swym słowom szczególnego znaczenia.

Aktorka z opery komicznej przegrała; markizowi nie lepiej poszło. Ostatecznie pani Ransome wstała od stołu, wygrawszy trzy tysiące franków. Zwróciła się ku Devereumu z wesołym uśmiechem.

— Nie życzy pan sobie spróbować szczęścia? — spytała.

Młody człowiek spojrzał jej prosto w oczy i odrzekł zimno:

— *Merci, madame,* nie śmiałbym się mierzyć z tak zręcznym przeciwnikiem.

Wyrazy te można było zastosować do jej wielkiej wygranej, lecz ton głosu, a więcej jeszcze spojrzenie, nadawały im zupełnie inne znaczenie.

Parę osób znajdujących się w pobliżu i mogących słyszeć odpowiedź, spoglądały po sobie zdumione. Pani Ransome niezmiernie pobladła, lecz z rzadką przytomnością umysłu udała, że nie spostrzega nic ubliżającego w tych słowach.

— Panu los może dopisać jeszcze lepiej niech mi pan mojego nie zazdrości szczęścia.

— Niech mnie Bóg broni, abym miał zazdrościć pani! Wolałbym stokroć stracić wszystko co mam, niż wygrywać przy pomocy „takiego jak jej szczęścia!“

Wrażenie tych słów, wypowiedzianych z wielkim naciskiem, było elektryzujące. Wszyscy się zerwali.

Pani Ransome blada i drżąca, stała z wyrazem przerażenia na twarzy. Ozwały się tu i owdzie okrzyki: *Espion, scelerat!* — zamieniono spojrzenia, wyrażające nieufność i zdumienie.

Markiz zbliżył się ku Devereux'mu.

— Rzuciłeś pan potworne obwinienie na damę, gospodynię tego domu; powinieneś je udowodnić, lub odwołać!

Inni goście przywtórzyli tym słowom przychylnym szmerem. Pani Ransome stała wyprostowana, patrząc prosto przed siebie, lecz nie odzywając się ani jednem słowem. Zdawało się, że z pomiędzy wszystkich osób znajdujących się w salonie, Dave Devereux najwięcej jest panem siebie.

— Obowiązany jestem, — rzekł — usprawiedliwić się przed panem de Saint-Marc, który mnie uprzejmie wprowadził do tego salonu i gotów jestem dać mu jaką zechce satysfakcję. Lecz słów które wyrzekłem cofać nie potrzebuję; jeśli pani Ransome tego sobie życzy, dowiodę natychmiast, że powiedziałem prawdę.

Wszystkich oczy zwróciły się na panią Ransome. Zapanowało głuche milczenie. Ona ciągle stała niema i bezwładna, ze śmiertelnie bladą twarzą. Wtedy powstał szmer; jeśli jest niewinną, czemuż się nie broni; jeśli prawda, że gra nieuczciwie, niech wróci

Na polowaniu.



— Polujesz pan dużo — zabijasz wiele zwierzyny?...
— Poluję, bardzo wiele — namiętnie — ale nie zabijam wcale...
— Dlaczego?...
— Bo ja nie lubię zabijać...

nieprawnie wygrane pieniądze. Goście skupili się wokoło niej, krzycząc, klnąc, hałasując, jak umieją tylko francuzi i dowodząc, do jakiego stopnia ludzie dobrze wychowani zapomnieć się mogą, skoro idzie o pieniężny interes. Devereux stał na uboczu podczas tej przykrej sceny, nie przyjmując w niej żadnego udziału, a pani Ransome, jak jeleń przez gończych obsaczony, rzuciła na swego prześladowcę dziwne spojrzenie, strach i zdumienie wyrażające; lecz nie broniła się, ani jednem słowem. Nakoniec panu de Saint-Marc i kilku innym osobom udało się względny przywrócić spokój, i St. Marc odezwał się, że skoro pani Ransome nie chce się usprawiedliwić, musi zwrócić gościom to co od nich wygrała, w ciągu dzisiejszego wieczoru.

— Niech i tak będzie, — odrzekła, przemamiając po raz pierwszy od początku tej sceny; — i niech wszyscy dom mój opuszczą.

— Nie potrzebujesz pani tego żądać, — odpowiedziała z szyderstwem aktorka; — nikt tu na pewno pozostać nie zechce.

Odeszli wszyscy, rozmawiając ciągle głośno i namiętnie, — wszyscy prócz pana St.-Marc'a i Dave Devereux'go.

— Chciej pan oddalić się na chwilę, — rzekła Estera do St. Marca.

Ten skłonił się i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Wtedy kobieta zwróciła się do Devereux'go.

— Panie Devereux, — rzekła, — com panu zawiniła, żeś na mnie ściągnął wstyd i nędzę?

— Odpowiem pani na to innem pytaniem. Czyś już zapomniała o Percivalu Clermoncie?

Dziwny krzyk wyrwał się z jej ust. Cofnęła się o parę kroków, lecz zapanowała nad sobą natychmiast i odpowiedziała dumnie:

— A czemże Percival był dla pana? Jam mu nie uczyniła nic złego!

— Był mi najlepszym, najdroższym przyjacielem. Kochałem go nad życie. Doprowadziłaś go do ruiny i mogiły.

Zwrócił się ku drzwiom. Estera Ransome zastąpiła mu drogę.

— Wstrzymaj się pan! zawołała, i na chwilę czarne oczy kobiety i ciemno-niebieskie mężczyzny spotkały się z sobą. — Więc ma to być między nami walka bez miłosierdzia?

— Tak, — odrzekł stanowczo, — walka na śmierć i życie.

Kobieta się cofnęła.

— Niechże i tak będzie, — syknęła przez zęby; — zobaczymy, Dave Devereux, kto w *tej* grze zręczniejszym się okaże, po czyjej stronie — twojej lub mojej, będzie zwycięztwo!

— Przyjmuję wyzwanie, — odrzekł spokojnie młody człowiek, — żegnam panią.

Skłonił się i wyszedł.

Nazajutrz przed południem, w mieszkaniu w parku Monceau nie było już Estery. O całym tym wypadku opowiadano sobie w Paryżu przez parę tygodni, następnie zapomniano o nim. Świat zapomniał, lecz w pamięci mężczyzny i kobiety, którzy owej nocy stanęli w obec siebie, jak dwaj śmiertelni wrogowie, niezatarte zostało wspomnienie. Wojna bez miłosierdzia! Czyja ręka zada cios śmiertelny — dłoń mężczyzny, czy kobiety!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Ameryki.

Otrzymujemy od księdza Konstantego Domagalskiego pismo p. t.:

Sejm polski Związku Narodowego Polskiego w Buffalo, które zamieszczamy:

„W Nrze 43. „Gońca“ wyczytaliśmy te przykre, ale prawdziwe słowa: „Ta walka dzienikarska i polemika, (w Ameryce) doprowadzona do bezbrzeżności, robi dziwnie przygnębiające wrażenie — wygląda to tak, jak pijackie stypy na cmentarzu“. Cobyście powiedzieli, gdybyście byli świadkami ostatniego sejmu Związku N. P. w Buffalo!... Wróciłem właśnie z tego sejmu. Cały obraz przykro zapisał się w mojem sercu i pamięci. O lepiej zaiste, byłoby, jakto pisaliście, aby nas, tu ta amerykańska ziemia pochłonęła — bo polska z nas nie będzie miała pożytku.“

Tak, jak autor artykułów „Echa przedsejmowe, umieszczonych w „Zgodzie“ przepowiedział — spełniło się wszystko, co do joty. Związek N. P. wyrzekł się publicznie wiary katolickiej, wiary swych ojców, a oświadczył się ostentacyjnie za bezwyznaniowością, i postanowił przyjmować do swego grona nawet notorycznych bezwyznaniowców, ateuszów i żydów. — Ten swój amerykański liberalizm motywuje zasadami konstytucji 3. maja przywłaszczając sobie prawa i atrybucje wielkiego narodu.

Aby te ostatnie smutne wypadki lepiej zrozumieć, trzeba się koniecznie o kilka lat w tył cofnąć. Po owej secesji w Detroit 1880., kiedy to pewna część polaków pod pozorem zrzucenia z siebie supremacji Ks. Ks. Zmartwychwstańców w politycznych sprawach, odłączyła się od ówczesnego Zjednoczenia Katolicko-Polskiego, a szczególnie po owej przez ubranych księży w Buffalo 1882. rzuconej na Związek klątwie, Związek N. P. zaledwie przez całe pięć lat wegetował. Do roku 1886. zaledwie kilka set członków liczyła ta instytucja. Dopiero po sejmie w Bay-City 1886., na którym zasiadło dwóch wpływowych księży polskich, zaczął się Związek N. P. pięknie rozwijać, tak że przez trzy następne lata wzrósł do półczwarta tysiąca czynnych członków. Za przykładem tych dwóch księży patrjotów, przystąpiło do Związku wielu innych — a za księżmi, zaczął się lud gromadnie cisnąć w jego szeregi. Organ związkowy „Zgoda“, pod umiejętną redakcją zdolnego redaktora p. Zbigniewa Brodowskiego z pomocą gorliwych, a bezinteresownych współpracowników stał się dziennikiem poważnym i zajął pierwsze miejsce w publicystyce polskiej na nowej ziemi. „Zgoda“ broniła umiejętnie interesów Związku i to na zasadach czysto katolickich, mając wciąż na oku doświadczeniem tu w Ameryce zdobyty pewnik, że tu w Ameryce, tak długo ojczyzny i polskości, jak długo stanie religji katolickiej bo tylko ta wiara ojców naszych w stanie jest obronić lud nasz przed wynarodowieniem i zamerykanizowaniem. „Zgoda“ tym wzniosłym zajęta celem pomijała milczeniem zachcianki pewnych związkowych osobistości, ignorowała zaś zwykle tych, którzy za swój patentowany i wrzekomy patrjotyzm, żądali kadzidła od swoich, a rozgłosu w starym kraju. Inde irae.

Gdy nieprzyjaciele zewnętrzni Związku spostrzegli wielki wzrost i rozwój tej polskiej i politycznej instytucji, uderzyli nań z całej siły, w żadnych nie przebierając środkach. W swych, z wielkim nakładem utrzymywanych dziennikach, pomawiali związkowców o niewiarę, masonerję i wyzyskiwanie biednego ludu, zaś wybitniejszych członków Związku obrzucali kałem oszczerstw i kalumnij. Denuncjacje do biskupów i klątwy z ambon, sypały się, jak z rogu obfitości. Tedy „Zgoda“ wystąpiła z całą siłą do walki. W Ameryce, chcąc zwyciężyć, trzeba po amerykańsku wojować. Niejednego może, a szczególnie w kraju, szorstkość tej polemiki zgorszyła; lecz wojna ma swoje wyłączne prawa, a walczyć trzeba, przynajmniej, równą bronią.

„Zgoda“ nareszcie zwyciężyła. W Związku powstała ogólna radość. Szermierzy związkowych wynoszono pod niebiosa nie szczędząc, ani pochwał, ani uznania zasług. Niestety! wkrótce pokazało się, że te owacje piała czysta obłuda. Dziś ci sami szermierze obrzuceni są od własnych braci związkowych błotem najstraszniejszych oszczerstw i kolumnij. Dopóki trwała walka, żywioły nienawistne religji i wybitniejszym członkom w milczeniu, lecz z zazdrością w sercu, oczekiwali końca. Po skończonej walce i odniesionem zwycięstwie, jako nowi nieprzyjaciele, wrogo wystąpili przeciw zwycięzcom. W pierwszych zaraz wrogich wystąpieniach pewnych dzienników, poznaliśmy, o co właściwie im chodzi i jaka Związek czeka przyszłość. Sejm w Bufialo stwierdził nasze przeczucia.

Ponieważ dawniejsi nieprzyjaciele Związku bili zawsze w stronę, że Związek składa się z bezwyznaniowców, nienawistnych religji i imieniowi polskiemu, przeto jeden z księży delegatów zrobił na sejmie wniosek, aby w konstytucji dodać, że odtąd nie wolno do Związku przyjmować notorycznych bezwyznaniowców. Wniosek ten poparła reszta księży delegatów i wielu dobrze myślących patrjotów. Z przyczyny tego wniosku powstał na sali sejmowej krzyk i hałas nie do opisania. Pomimo, że wniosek ten przeszedł większością głosów, uchwałę tę zwalono dwa razy wśród strasznych krzyków. Księża dwa razy opuścili salę posiedzeń. Po tym smutnym wypadku, gdy księża i wielu delegatów odjechało do domu, sejm prędko zakończono. Na urzęda związkowe obrano z pośpiechem ludzi innych, z wyjątkiem cenzora, którym pozostał ten sam p. Fr. Gryglaszewski.

Te słów kilka nie są wcale jeszcze doskonałym obrazem obecnej chwili. Wybrałem tylko momenta najbardziej ogół obchodzące. Więcej pisać nie mogę, gdyż żal i smutek wytrącają mi pióro z ręki. — Biada naszemu ludowi w Ameryce!...“

Tyle szanowny ksiądz Domagalski. Co do nas, nie ze wszystkiem możemy się zgodzić z zapatrywaniami ks. D. Jest prawdą nie ulegającą najmniejszej wątpliwości, że stowarzyszenia tego rodzaju, jak Związek N. P. w Ameryce, muszą mieć charakter katolicki i, że wiara katolicka w Ameryce, najskuteczniej broni polaków od wynarodowienia — z tem wszystkiem, wniosek szanownych księży na sejmie w Buffalo, wydaje nam się niepotrzebny, raz dlatego, że nie należało zaogniać i tak już niemal do krwi zaczerwienionych stosunków, a powtóre, że praktycznie rzeczy biorąc, wniosek taki nie ma znaczenia, bo Związek składają poszczególne różne towarzystwa rozsiane po całej Ameryce, a ustawy organizacyjne tych towarzystw, nie są zatwierdzane, ani przez Związek, ani przez sejm. Towarzystwa te są katolickie — rzeczą tedy księży jest, aby wywierać wpływ na poszczególne towarzystwa i nie dać w nich nurtować bezwyznaniowości. Gdyby, jednak, jakie towarzystwo przybrało nieodpowiednią barwę, jak to miało, podobno, miejsce w New-Yorku, to towarzystwo takie może być przecież nieprzyjęte do Związku, albo wykluczone przez rząd związkowy, cenzora, lub wreszcie sejm. Nareszcie, gdyby się nawet sformowało w sejmie jakie stronnictwo anti-katolickie, to byłaby to garstka drobna, którą ogromna większość, bez najmniejszego wysiłku, na każdym punkcie pobiłaby.

Swoją drogą, odwoływanie się do konstytucji 3. maja, uważamy za frazes, wprawdzie patrjotyczny, ale nie mający najmniejszego zastosowania w Związku.

Ramy konstytucji 3. maja, są szerokie, państwowe, a Związek jest bądź, co bądź, s t o w a r z y s z e n i e m p o l i t y c z n o - n a r o d o w e m n a e m i g r a c j i, dla którego, oprócz zachowania polskiej narodowości na obczyźnie, wśród obcych żywiołów, wzajemnej pomocy, — orędownictwa i obrony rodaków w obec miejscowego rządu i opinji publicznej — n i c w i ę c e j n i e i s t n i e j e.

Co do samych obrad sejmu w Buffalo — może i były zbyt hałaśliwe i namiętne — ale w wielkich nawet parlamentach europejskich dzieją się daleko gorsze rzeczy — nas z daleka uderzyło to, że sejm w Buffalo, prawie nie zajmował się tem, czem się właściwie zajmować powinien, że nie wydobył z siebie tych ożywczych czynników, które na obcej ziemi krzepią i dodają ducha współrodakom i, że obawiać się należy, aby ta jałowość nie wpłynęła źle na dalsze losy Związku Narodowego Polskiego w Ameryce.

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań".

(Ciąg dalszy patrz „Goniec" Nr. 46).

VII.

Starzyńscy nie mieli tajemnic dla proboszcza, rozgadali się tedy szczerze, wyłuszczyli przed nim powód zmartwienia dojadali resztki, kończył się grosz ostatni.

— I co teraz będzie? — zapytał pan Tomasz, zwieszając melancholicznie głowę na piersi

Ksiądz zadumał się, miał on wyobrażenie o niepraktyczności Starzyńskich, nie podejrzewał jednak nigdy, aby ta niepraktyczność doprowadzić ich mogła do roztrwonienia całego ich kapitału; sądził, że fundusz swój umieścili tak, iż z procentu utrzymują się w mieście.

— To źle — odrzekł po chwili, — ale co się stało, odstać się nie może! trzeba się z tego złego ratować, trzeba się tak ubezpieczyć, aby reszta nie poszła na marne! trzeba wracać do Żerdzi!

Podnieśli się oboje Starzyńscy z protestem... Co oni tam robic będą... tam, gdzie na każdym kroku ścigać ich poczną wspomnienia? Zresztą inwalidami są, gospodarować nie są wstanie.. i nie ma na czem... Żerdź raczej do zabawki, nie do gospodarstwa.

Ale proboszcz nie dał się zbić z drogi, po której iść zamierzył; przemocą narzucał radę tym zniedołężniałym w nieszczęściu kolatorom swoim, wykazywał następstwa z surowością logiki, gromił, a zarazem podawał sposoby zbawienia.

— Lękacie się państwo odnowienia blizn serca, a czyż to serce nie okryją hiobowe rany, gdy piękny szmat ziemi, który wam jeszcze pozostał, przejdzie w obce ręce, i wnuczka wasza bez swego dachu zostanie?... Ziemia, to święta matka, za życia naszego i po śmierci naszej! za życia, bo chleb daje, po śmierci, bo przytula kości ojców naszych, a kiedyś i kości nasze spoczną w jej łonie! Nie godzi się zapominać o niej, dla roztkliwiania się w żalu, chociażby po stracie dzieci! Nie tu dom państwa, lecz tam, w Żerdzi! Tu dom najęty, cudzy, tam gniazdo wasze! a gniazdo owe, pięć lat już bez rodziny. Miłosne dusze: Dąbrowscy z Nowakiem strzegą tej ziemi, jak źrenicy oka, gdy państwo odrzekacie się jej. Ta żerdzińska rola da chleb, lecz trzeba podtrzymać macierz, nie obiedzać jej pożyczką, jak to uczynić chcecie.

Jadwisia z gorączkowem niemal zajęciem wsłuchiwała się w każdy wyraz plebana. Słowa kapłana były proste, lecz zapał z jakim je wypowiedział, nadawały mowie jego porywający koloryt.

— Ziemia żerdzińska — powtarzało coś z wnętrza dzieweczki — to matka za życia i po śmierci..

I przyszli jej na myśl rodzice, których tu nie ma, których żerdzińska ziemia utuliła w swem łonie; dziecko poczęło łączyć w jedność tę mamę, tego tatka, których nie ma, z tą wioską dziadków, z tą świętą matką ziemią, która jest; a naraz tęsknota Jadwisi za rodzicami, przedzierzgnęła się w tęsknotę za wsią, o której mówił proboszcz.

— Dziaduniu, babciu, — zawołała, składając rączki — pojedziemy do Żerdzi, bo tutaj tęskno bez mamy.

I stało się, że dziecię swą naiwną mową przemogło wahanie dziadków. W parę tygodni po rozmowie z proboszczem, Starzyńscy wracali do Żerdzi

Poczciwa trójca pracowników we dworze żerdzińskim nie posiadała się z radości, witając tych emigrantów z powrotem do gniazda; spłakali się oboje Dąbrowscy i Nowak, jak bobry, a państwo, mimo smutnych wspomnień, które poruszyły ich sercami, na widok dworu i okolicy, uczuli jakieś ożywcze ciepło wydzielające się z tego szmatu ziemi, który był ich, uczuli że są u siebie.

Ze Starzyńskiemi przybyły dwie cudzoziemki, nauczycielki Jadwisi: francuzka i angielka; nadciągnęła także i liczna służba ze sprzętami, pozostałemi w Warszawie.

Rozpoczął się teraz kłopot dla Nowaka i Dąbrowskich: znalazło się dostatnie pomieszczenie dla przybyłych, dwór bowiem był obszerny i wygodny, lecz zkąd wziąć żywności i zapłaty dla tej gromady?

Starzyńscy nie mogli jeszcze zrozumieć swego położenia. I znowu wdał się w to ksiądz Mierzyński, uregulował budżet dworski, ale z surowością poglądów na przyszłość, wykazał egoizm starców, nie oszczędzał nawet tego smutku, z jakim się nosili.

Starzyńscy byli ludźmi dawnego pokroju, umieli marzyć i cierpieć, umieliby jeszcze zdobyć się na bohaterstwo przy wspaniałych jakich okolicznościach, lecz w drobnych zapasach o byt, stawali się dziećmi, bez woli, bez doświadczenia.

— Niech tak będzie, jak radzi ksiądz Mierzyński! — powtarzali, — gdy chodzi o przyszłość Jadwisi, gotowi jesteśmy ponieść wszelkie ofiary.

Ksiądz Mierzyński nietylko radził, lecz i działał: odprawił niepotrzebną służbę, zbył oranżerję, ogród poruczył Dąbrowskiemu, poszły także między ludzi cugowe konie, paradna liberja, kosztowne uprzęże i smycze; stopa okazała, pańska, poczęła z dnia na dzień zanikać w żerdzińskim dworze, lecz za to podniosła się uprawa roli, hodowały się szkółki drzew owocowych na sady w przyszłości.

Starzyńskich bolała ta zmiana, jednakże nie sprzeciwiali się w niczem — z wyjątkiem odprawy nauczycielek cudzoziemek; panie te pozostały przez lat kilka w Żerdzi.

Przy cudzoziemkach, ksiądz Mierzyński wprosił się na lekcje religii; zresztą, prócz muzyki, angielskiego i francuzkiego języka, Jadwisia potrzebowała obszerniejszej edukacji. Bystra w pojęciach dziewczynka, odrazu zrozumiała ważność tych lekcyj, a przywiązanie jej do proboszcza, wiara w to, co on mówił, stały się podstawą kierunku na dalszy żywot sieroty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr.

Dwa Koncerta p. Paderewskiego fortepianisty, z których jeden odbył się w teatrze, a drugi w sali Domu Narodnego, zgromadziły bardzo liczną publiczności. Gra artysty, który taki rozgłos zjednał sobie za granicą — jest, istotnie, co się zowie mistrzowska, a przytem pod względem technicznym, posiada pewną cechę oryginalnej siły. Czasami artysta robi wrażenie, jakby wyrywał klawisze i rzucał ich dźwięki w powietrze...

Orkiestra nasza dzielnie i z wielką precyzją artystyczną towarzyszyła grze koncertanta.

P. Paderewskiemu na wyjezdnem dano bankiet w sali Tow. Muzycznego, na którym muzycy... rozgadali się... Utrzymują, jednak, niektórzy, że lepiej słuchać muzyków, jak grają, aniżeli, jak mówią...

P. Ładnowski zakończył ostatecznie swoje gościnne występy na lwowskiej scenie grając najnirpotrzebniej *Męża na wsi*, gdyż rola ta nie dla niego. Że też każdy artysta, takiej nawet miary, jak p. Ładnowski, ma jakiegoś klina w głowie, którego mu nie wybije najsurowsza nawet krytyka...

Podczas przedstawienia *Chamillaca*, p. Ładnowski od kolegów otrzymał wieniec, który mu wręczył p. Woleński.

Przedstawienie na dochód p. Zboińskiego, który na kuracji znajduje się w Styrji, odbyło się w ubiegły poniedziałek. Przedstawienie było składane z paru znanych jednoaktówek, z drugiego aktu *Króla Leara*, z panem Ładnowskim i z jednego aktu *Juanity*, z panią Bocskay. Oprócz tego w przedstawieniu brał udział p. Gustaw Fiszer.

O dwóch debiutach, w operetce: p. Róży Schwabl i w dramacie panny Pankiewicz, a także o nowo wystawionym dramacie p Starzeńskiego p. t *Stracona pikieta* — sprawozdanie odłożyć musimy do następnego numeru „Gońca", bo do „Iskry" brak już czasu i miejsca.

Telegramy »Iskry«.

Belgrad. Król Milan zwierzył się przed jednym ze swych przyjaciół, iż wykradnie swoją żonę, aby ją wywieść z Belgradu, a potem da nura.

Belgrad. Król Aleksander zapytany, kogoby wolał zobaczyć ojca, czy matkę, odpowiedział: i tatę, i mamę.

Monaco. Nowy władca księstwa Monaco powołał ze Lwowa pewnego budowniczego i powierzył mu wybudowania domków dla zrozpaczonych samobójców, aby im dopomódz i ulżyć, a to w ten sposób, iżby za pociągnięciem postronka tkwiącego w belce, domek runął i zabił ofiarę.

(Tak jest, Lwów słynie z takich budowniczych, co budują nie na mieszkanie, tylko na zawalenie — ale, jednak, ciekawi jesteśmy, który to dostąpił tego zaszczytu...)

(Przyp. Red.)

Praga. Poseł do rady państwa Türk, nie chcąc zaniedbywać swojej praktyki lekarskiej będzie brał udział w obradach parlamentarnych za pośrednictwem telefonu.

Petersburg. W zakładzie podrzutków wśród niemowląt wykryto ślady nihilizmu.

Warszawa. Hurkowa objęła protektorat nad instytutem zaszczepiania wścieklizny.

Berlin. Książę Bismarck w pewnem towarzystwie rzekł: „gdyby nie to, że musiałem służyć ojczyźnie, byłbym został porządnym człowiekiem, a tak muszę być złym, bo do rządzenia cesarstwem niemieckiem, tak potrzeba złości, jak do jedzenia soli"...

Kraków. Ma tu powstać nowe pismo humorystyczne. Wszystko już jest gotowe, tylko nie ma jeszcze pieniędzy — ale i na to znaleziono sposób i cały personal redakcyjny, administracyjny i drukarski, stawia szereg ułożonych numerów na loterję liczbową — z wygranych opłaca się koszta wydawania pisma. Takie stawki gremjalne odbywać się będą, co tydzień, choć już pismo będzie wychodziło.

Drobnostki humorystyczne.

W Ameryce.

Sędzia pokoju daje ślub.

Zapytuje narzeczonej:

— Miss Z., czy masz silną, a nieprzymuszoną wolę wziąść tu obecnego Johna X. za małżonka?..

— Mam.

Sędzia zwraca się do pana młodego i mówi roztargniony:

— Podsądny! co masz do nadmienienia na swoją obronę?...

Przysłowia niearabskie.

— Kto na ciebie chlebem, ty na niego kijem.
— Jak sobie źle pościelesz, to się źle wyśpisz.
— Wiedz dobrze, że żona wiele kosztnje.
— Nie zabieraj się raźno do roboty, bo się zmęczysz.
— Każdy człowiek przed czynem, niech się podrapie w głowę.
— Sędzia niechaj gniew swój zostawia w domu razem z żoną.
— Jak ci źle płacą, to idź do djabła.
— Jeśli bieda, nie rób hoc, bo szkoda butów.

Znany historyk francuski Guizot, wydał *Historję Kromwella*, która nie miała powodzenia. Będąc w Sorbonie profesorem, podczas egzaminów, studenta, który źle odpowiadał, zapytuje z pewną drwiącą złośliwością.

— Może pan przynajmniej będziesz mógł mi powiedzieć, wiele ark miał Pont Euksyński.
— To bardzo łatwe, odpowiada student.
— A więc, proszę powiedzieć.
— Pont Euksyński miał tyle ark, ile pańska *Historja Kromwella* miała czytelników.

Tableau!

Jegomość łysy, jak kolano, w przystępie złego humoru, robi małą scenę swej żonie — unosi się, tupie nogami i gestykuluje z całej siły.

— To szczęście, mówi z całym spokojem żona, że włosów z głowy wyrywać sobie nie możesz...

Różne ogłoszenia.

Rafinowany złodziej, po odbytej długoletniej praktyce w więzieniach i na wolności, udziela lekcyj podług najnowszej metody i z zastosowaniem do potrzeb i obyczajów miejscowej ludności. Zgłosić się Szkarpy, kasztan Nr. 6.

Zdeńko Niedopytalski w Dukli i Barbara Gadulska w Bóbrce, polecają się pannom, wdowom i rozwódkom, jako niezaręczeni.

Niemłody, „niewysztuderowany" człowiek, były „hausmajstyr", nieżonaty (żona mu uciekła), bezdzietny (dzieci wypędził z domu), niewładający wcale językiem niemieckim, francuskim i angielskim, szuka posady, jako buchhalter pod bardzo przystępnymi warunkami. Łaskawe oferty proszę przysłać pod adresem. „Pensjonowany Hausmajstyr" — poste restante.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. E. w Br. O „toastach" nie będzie drukowane.

P. K. C. we Lwowie. Drobnych rękopismów nie zachowujemy i nie zwracamy.

P. N. O. Nie wszystko złoto, co się świeci i nie każdy jest artystą, choć się sam tak nazywa, albo choć go inni tak nazywają.

Niektórych panów prenumeratorów objaśniamy, że po gazety krajowe zgłaszać się należy na pocztę, lub polecić je sobie odnosić do domu, za co płaci się poczcie $^1/_2$ centa za każdy numer, co także robią i same ekspedycje pism, dolepiając do jednocentowej marki, jeszcze markę za pół centa.

Nadesłane.

Dr. Teofil Stachiewicz

lekarz specjalny do chorób

płuc, gardła i nosa

ordynuje od 3—5 plac Marjacki l. 8.

(4886 10-1).

Doniesienie!

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że otworzyłem w kamienicy p. Jakóba Schwarca **w Przemyślu** przy ul. Lwowskiej naprzeciw handlu Wgo Witkowskiego

Wielki skład mebli

pod firmą:

R. Bornstein

zaopatrzony w jak najgustowniejsze urządzenia salonów, sypialni, jadalni, oraz meble żelazne, chodniki i firanki z najlepszej Juty.

Wypożyczam pojedyńcze meble po umiarkowanych cenach.

Sprzedaję również na raty.

Sprowadzając meble z pierwszorzędnych renomowanych fabryk, mogę ręczyć za trwałość i wyrób takowych.

O liczne odwiedziny uprasza

R. Bornstein

(4881 6-1) **w Przemyślu**

Ze Lwowa.

Znana od 10-ciu lat pracownia

wszelkiego rodzaju sukien męzkich

Seweryna Waligórskiego

przeniesioną została ze ***Lwowa*** *do* ***Przemyśla*** *i na razie otworzyłem salon przy ulicy Fredry l. 75 obok apteki Bajera w Rynku, ale staraniem mojem będzie dla wygody Szanownej P. T. Publiczności w najkrótszym czasie otworzyć sklep.*

Pracując przez dłuższy przeciąg czasu w pierwszorzędnych zakładach krawieckich tak w kraju, jak i zagranica i zaopatrzywszy magazyn swój w doborowe materjały berneńskie, francuzkie, angielskie itp. jestem w stanie najwybredniejszym wymaganiom Szan. P. T. Publiczności zadosyć uczynić.

Wszelkie zamówienia na ubiory cywilne, urzędowe, wojskowe i dla Wielebnych Księży, tudzież liberyjne, wykonuję na czas, modnie, gustownie, trwale i po umiarkowanych cenach.

Polecając się łaskawym względom Szanownej P. T. Publiczności pozostaję z wysokiem poważaniem

Seweryn Waligórski

(4877 6-1) **w Przemyślu.**

ALEKSANDER WANIEK

w Żywcu

poleca (4878 4-1).

obficie zaopatrzony magazyn

w wyroby towarów kolonialnych, wyrobów żelaznych, szkła, porcelany lamp i t. p.

Ceny umiarkowane. — Towary w najlepszym gatunku.

Założony w roku 1855

Hotel Narodowy

FR. KOTLARSKI

dawniej **J. KOTLARSKA**

w Żywcu przy ul. BIAŁAŃSKIEJ

poleca po cenach miernych **prawdziwe doborowe wina austrjackie, węgierskie, reńskie, szampańskie i t. p. Doborową kuchnię. Jadalnie dla kółek towarzyskich, dogodne sypialnie. Przyjmuje zamówienia do urządzania wesel i bali.**

Stajnie dla koni.

Omnibus od i do każdego pociągu.

Obszerna sala tańców, bilard i trafika. (4829 ?-1).

Założony w roku 1885!

Heilman Kohn i Synowie

fabrykanci ubiorów męzkich i dziecinnych z Wiednia

zaopatrzyli swe składy:

w Krakowie: Grodzka l. 9. we Lwowie: Teatralna l. 1. w Czerniowcach: Rynek l. 11, w Bielsku. w Białej. Opawie. w Tarnowie, w Pilźnie (Czechy), **i Przemyślu: Franciszkańska 156**

w wielki wybór

ubiorów męzkich i dziecinnych na obecny sezon jesienny i zimowy.

Ceny fabryczne.

(4880 5-1).

Dr. J. Dukiet

po dłuższych kursach w Wiedniu, osiadł w pierwszych dniach września

w Przemyślu

i ordynuje

w chorobach kobiecych i ortopedycznych.

4885 4—1

Taniej, jak wszędzie!

Uwiadomienie.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że otworzyłem przy **ul. Franciszkańskiej l. 262 w PRZEMYŚLU** w kamienicy p. Ragera, tuż obok kawiarni pana Braunsteina

Nowy Magazyn

wiedeńskich ubiorów męzkich i dziecinnych.

Chcąc konkurować ze wszystkimi tutejszymi kupcami mego fachu, sprowadziłem obecnie na sezon jesienny i zimowy wyłącznie najgustowniejsze towary w najlepszych gatunkach i będę takowe sprzedawał po jak najprzystępniejszych cenach.

Zapewniając Szanowną P. T. Publiczność, że zadaniem mojem będzie rzetelną i dobrą usługą zyskać sobie łaskawe względy Szanownej P. T. Publiczności, upraszam o jak najliczniejsze odwiedziny i kreślę się z wysokiem poważaniem (4882 0-1).

Abraham Wilczer

w Przemyślu ulica Franciszkańskiej l. 262.

Taniej, jak wszędzie!

Marjan Bałanda

Drohobycz

poleca swój nowo założony Magazyn płócien, bielizny stołowej, haftów, koronek, drelichów na obicie mebli, materaców i storów do okien. — Wielki wybór gotowej bielizny dla pań, panów i dzieci. Najlepsza cerata, oraz nowość z tejże: gotowe obrusy na stoły. Nowości w trykotowych bluzach dla pań, oraz wielki wybór gotowych sukienek dla dzieci. Dywany i chodniki. Wstążki w wielkim wyborze, oraz kwiaty i przybory do szycia i krawieczczyzny. Kołdry wełniane i watowane. Wszelkie taśmy małoruskie w kolorach do obszycia bielizny i kostjumów narodowych. Wzorki z monogramów i brzegów do roboty krzyżykowej.

Wszelkie zlecenia uskuteczniam jak najsumienniej, po nader niskich, a stałych cenach, zaręczając za najdokładniejsze wykonanie.

(4771 3-6)



Poleca

SWOJE

WYROBY,

jakoteż

wszelkie

materjały budowlane.

4884st.—1

ANTONI ROZMANIT

KRAKÓW.

Fabryka parowa

Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej

w Rakowicach pod Krakowem

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykorji i sztucznej Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).
Surogat Kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską Rozmanita.
Cykorję krakowską gorzką.
Kawę figową.
Cykorjową Kawę perłową
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. 4768-st. 2

Zalecając wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkta zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

Zmiana lokalu.

Znany zaszczytnie od lat **30** magazyn i pracownia **wyrobów jubilerskich** złotych i srebrnych, oraz **skład chińskiego srebra,** pod firmą:

KAROL VÖLKER i SYN

został przeniesionym

z Rynku na plac Marjacki do hotelu francuskiego.

4769 10—9

M. PETERSEIM

Kraków, ulica Długa.

C. k. uprzyw.

Fabryka maszyn i odlewarnia



(4674 st.—9)

poleca **maszyny** i **narzędzia rolnicze,** najnowszych systemów, tudzież **sikawki pożarne** dwu i czterokołowe, **wozy na wodę, sikawki gospodarskie** i **ogrodowe,** oraz wszelkiego rodzaju **pompy.**

Cenniki gratis i franco.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.